

Szkoła po sąsiedzku



Tak wyglądały kiedyś klasy w szkołach, z tablicą, liczydłem, globusem i ławkami z otworami na kałamarze. Na zdjęciu zrekonstruowana klasa w Szkole Podstawowej w Pakosławiu, fot. ilza.com.pl

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Pierwszą moją nauczycielką była pani Leparska. Dojeżdżała z miasta. Starsza, korpulentna i bardzo zadbana pani. Zapamiętałem jej broszkę okazałych rozmiarów, pierścionki i

bransolety na rękach. I manicure na jej paznokciach, które widziałem po raz pierwszy w życiu. Nosiła duży męski zegarek - chyba złoty. To ona uczyła pierwszych tabliczek mnożenia. Czytać to już umiałem przed pójściem do szkoły. Niedaleko naszego domu, na zwirowni, popisywałem się przed starszymi kolegami, czytając im po raz kolejny pouczającą historię o Janku, co psom szył buty. Po dwóch latach mojej nauki pani Leparska przestała dojeżdżać. Zastąpił ją w 1959 roku Leonas Kurklenas, który wraz z żoną, też nauczycielką, przyjechał do Fabianiszek z głębi Litwy, by nas uczyć polskiego.

Przez cały czas istnienia szkoły była tu pani Teresa Fiodorowicz. Elegancka i bardzo piękna podobno w młodości kobieta. Mówiono, że jej narzeczony zginął w czasie wojny. Ale szczegółów nikt nie znał, tyle tylko, że był w Polskim Wojsku, w partyzantce. W tamtych czasach nie mówiono w AK. Pani Teresa długo nie mogła przeżyć śmierci ukochanego i nigdy nie wyszła za mąż, prowadziła samotny i zamknięty tryb życia. Miała w Wilnie brata, ale zażyłości między nimi nie było. Potem - szeptano - związała się z jakąś sektą. Na starość unikała ludzi: szybko przemykała od przystanku autobusowego do szkoły, gdzie na poddaszu - na salkach - od lat zamieszkiwała. Tak samo, niemal biegiem, udawała się do studni po wodę, czuła zażenowanie, kiedy ją się spotykało, nie pozwalała pomóc sobie i zanieść wiadra.

Wiele czasu poświęcała czytaniu. To ona była u nas jedyną prenumeratorką w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takich czasopism, jak „Film” czy „Ekran”. Oczywiście, miała też „Przyjaciółkę”, a potem „Panoramę” - ale te pisma były bardziej znane, niektóre mieliśmy w domu.

Podkradaliśmy się czasem do jej czasopism. Po przeczytaniu pani Teresa składała je w stodole, która jako szkolna, nie dostała się kołchozowi. Choć była zamknięta na kłódkę, to przenikaliśmy z bratem do jej wnętrza przez liczne otwory. Czas spędzony w stodole obfitował w różne przygody. Penetrując jej zakamarki odkrywaliśmy wiele tajemnic, znajdowaliśmy tu czasem ciekawe rzeczy. Raz nawet trochę amunicji pod strzechą, którą wypróbowaliśmy w ognisku... Z czasopism pani Teresy wrywaliśmy kartki ze słynnymi sportowcami i aktorami. Tu, w dziurawej stodole, z żurnali przebijał wielki świat.

Pani Teresa miała jeszcze jedną pasję, która graniczyła z obsesją. Lubiła czystość na szkolnym podwórku. Nie mogło tam być papierka, najmniejszej gałązeczki czy opadłego liścia, uporczywie walczyła z chwastami. Tego wymagała i od nas, co uważaliśmy za przesadę.

A ogródek był co się zowie! Upiększały go „szczepione” bzy i jaśminy, dzika róża, rosły najprzeróżniejsze kwiatki, w tym rzadkie w naszych stronach. Dróżki przy klombach były

wysypane żółtym piaskiem, znaczone kamykami i tłuczoną cegłą, pobielonymi wapnem kamykami. Musieli też uczniowie pracować w szkolnym ogródku. Każdy miał swoje indywidualne grządki, o czym świadczyła stosowna tabliczka z nazwiskiem. Prócz warzyw najpospolitszych, takich jak marchew czy buraki, rosły tam bób, fasola i groch. W szczególny zachwyty przyprawiała uczniów „czerwona kapusta” i arbuzy.

Jesienią ulubionym miejscem, gdzie się gromadzili uczniowie, była grusza, z drobnymi, ale bardzo smacznymi gruszkami. Jednakże zdobyć je było bardzo trudno - nauczyciele pozwalali zbierać owoce tylko z ziemi. Było tego niewiele - chyba, że rzuciło się w gruszę jakimś kijem, albo dobrze nią potrząsnęło. Trzeba było uważać, bo gdy zobaczył to nauczyciel, jedyny mężczyzna w szkole, to już on wtedy potrząsał uczniem.

Grusza stanowiła fragment przerzedzonego sadu. Rosły tam różne jabłonie od antonówek po rajskie jabłuszka, a także wiśnie, porzeczki, maliny i agrest. Sad, jak i budynek szkolny, przed wojną należał do brata mojego dziadka - Władysława. Jako najbardziej okazały w okolicy, sielsowiet* przeznaczył budynek właśnie na szkołę początkową. Nawet nie był to wariant najgorszy w latach, gdy oczodołami okien straszyły puste domy, zaś wywózki na Sybir, a potem w ramach tzw. repatriacji do Polski, nikogo nie dziwiły. Przez pewien czas ojciec miał pracę przy szkole - ni to stróża, ni to stolarza, taki sobie zawchoz**.

Nasz dom stał obok, więc nauki pobierałem po sąsiedzku.

- Już dzwonek, po przerwie śniadanie skończysz! - wołała matka. Wyruszałem więc przez podwórko prosto do klasy. Na górze właśnie mieszkała pani Teresa, obok niej mieszkanie przydzielono przybyłym Kurklenasom. Kiedy szkołę likwidowano, pani Teresa była w wieku emerytalnym. Jeszcze rzadziej pokazywała się „na ludziach” i jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Dziwaczka - z politowaniem pełnym szacunku mówiono o niej. Potem chorowała, przebywała w szpitalu, aż nie wróciła na swe nigdy nieremontowane i przeciekające poddasze.

Dziadek Władysław tylko jeden raz widział swój letniskowy dom (większość czasu spędzał w mieście), oddany pod szkołę, bo tylko raz przyjechał odwiedzić Wilno. Nie ciągnęło go jakoś. Był to człowiek zasługujący oddzielnej książki. Humorystyczno-sensacyjno-dramatycznej. Niedoszły ksiądz (zaliczył dwa lata seminarium), wytrawny esteta, a nade wszystko specjalista od interesów, miał w Wilnie knajpki, niedaleko Gazowni i na Mostowej, młyn i coś tam jeszcze. Potrafił wesoło spędzać czas, lubił w przednim towarzystwie pograć w karty. Ale wiedział z kim i kiedy skończyć - więc nie przegrywał i nieźle mu się w sumie wiodło.

Potem posiadłości zabrali Sowieci, a ich właściciel trafił na Syberię. Ale i tam sobie poradził. Z Syberii udał się wprost do

Polski i osiadł w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. To od niego dostałem swój pierwszy w życiu wyzow*** i ze Szczecina rozpocząłem pierwszą i pełną przygód podróż dookoła Polski. Dziś dziwię się, jak mogłem objechać pół kraju - głównie autostopem - bez pieniędzy. Wtedy, bardziej niż dziś, wiedziałem, czym może nie być dla mnie Polska.

Dziadek Władysław, szczupły, wręcz drobny mężczyzna, mimo chorowitego w młodości zdrowia, w Szczecinie dożył sędziwego wieku - zmarł mając 102 lata. Miał nadzwyczajną pamięć, nigdy go nie opuszczało wyrafinowane poczucie humoru. Sensacją w latach sześćdziesiątych było zamążpójście za Amerykanina jednej z jego córek, a mojej ciotki, i odpłynięcie własnym jachtem do nowego życia za ocean.

Po latach na zdziczałym skrawku ziemi, gdzie stał dom stryjecznego dziadka, gdzie pozostały też i resztki naszego sadu - jacyś Amerykanie w ostatnich przed rozbiórką domach pytali o Mieczkowskich. Ale zastraszony lud i o przytępionej pierwszymi ciosami przez dziki kapitalizm pamięci - nie mógł doradzić, jak nas odnaleźć. Do głowy mu nie przyszło, iż wystarczyło poszukujących odesłać do byle jakiej polskiej gazety czy organizacji. Ale na taki pomysł młodsze pokolenie byłych sąsiadów nie wpadło. Może dlatego, że to byli goście właśnie z Ameryki.

Przywołując moją pierwszą szkołę, nie mogę nie wspomnieć pewnej staruszki, która wprawdzie nauczycielką nie była, ale bardzo chciała nauczyć mnie francuskiego. Pewnie dlatego mówiła do mnie wyłącznie w tym języku. Otóż w naszym domu znalazła przytułek pani Buterlinowa, z dworu w Zameczku.

Była to zasuszona staruszka, którą wypędzono ze znacjonalizowanego majątku. Miała długi zakręcony kij. Bałem się go najwięcej, ponieważ kiedy byłem niesforny, usiłowała złapać mnie zaokrąglonym końcem owego kija. Pani Buterlinowa miewała zaniki pamięci, wyruszała w nagłe wędrówki i potem trzeba było ją szukać. W czasie jednej z nich zginęła w wypadku samochodowym.

Jej życie i śmierć przywodzi na myśl obecność w naszym domostwie poczciwego psa Wilka. Był to owczarek, którego zostawili cofający się Niemcy. Jakież niezwykle mądre było to stare jednookie psisko! Doskonale rozumiał nas – kiedy, na przykład, rodzina wyruszała do krewnych – biegł pierwszy i naszcekiwał. Był to znak, że niebawem pojawią się Mieczkowsy.

Wilk również odegrał znaczną rolę w moim wychowaniu – pilnował mnie, żebym nie oddalał się za daleko. Miał swoje lata, słabo widział, nie dosłyszał. Pewnego razu został również przejechany przez samochód. Potem mieliśmy wiele psów, ale

żaden nie dorównał inteligencją i wiernością Wilkowi.

* *sielsowiet* (ros.) - rada wiejska

** *zawchoz* (ros. skr.) - odpowiedzialny ds. gospodarczych

*** *wyzow* (ros.) - popularna nazwa oficjalnego zaproszenia, na podstawie którego wydawano zezwolenie na odwiedzenie

Kraków kultowych knajp



„Free Pub”, Kraków, fot. „Free Pub”.

Andrzej Kaczmarczyk (*Kraków*)

Gdzie w Krakowie - kulturalnej stolicy Polski - wypada bywać? Wielu turystów układając plan pobytu pod Wawelem w oparciu o oficjalne przewodniki wpisuje do niego Wierzynek, Jamę Michalika czy Piwnicę pod Baranami. Krakowscy „bywalcy” śmieją się, gdy słyszą te nazwy.

W „Wierzynku” (sprywatyzowanym) bywają już chyba tylko urzędnicy samorządowi i wojewódzcy, a i to tylko przy okazji oficjalnych kolacji dla zamiejscowych gości” - mówi Jacek Płaza,

krakowski dziennikarz radiowy i telewizyjny, który zna chyba połowę krakowskich barmanów. W „Michaliku” byłem tylko raz. Prawie dwadzieścia lat temu przyjechał ktoś z Poznania i uparł się, że musi zobaczyć legendarny lokal „Zielonego Balonika”. Z Piwnicą jest inaczej. W części Piwnicy, gdzie występuje Kabaret, dalej można spotkać starych i nowych fanów. Jednak część barowa, która skutecznie przykuwała bywalców jeszcze w latach 80., po „odzyskaniu niepodległości” zmieniła klientów.

Grono Piwniczian i ich przyjaciół najprędzej można spotkać na płycie Rynku w kawiarni „Vis a Vis” zwanej „Zwisem”. Przed lokalem stoi, a właściwie siedzi, figura Piotra Skrzyneckiego, z codziennie nową wiązką kwiatów. Przy stoliku obok przez wiele lat zasiadał Jan Nowicki i pisał listy do Piotra drukowane w lokalnej gazecie. „Zwis” słynie z najtańszego piwa w Rynku i nieco siermiężnego wystroju. Ten *image* i fakt, że zdarza się tam czasami czysto męska klientela, był przyczyną pytania jednego z turystów: „czy to jest lokal dla homoseksualistów?”. „Wręcz przeciwnie” - miała odpowiedzieć zdziwiona pani Zosia, kelnerka i symbol tego cenionego przybytku.



Kawiarnia „Vis a Vis”, fot. wikipedia



Kawiarnia „Vis a Vis”, fot. Andrzej Barabasz (wikipedia)

W Krakowie bywa się w knajpach i to najlepiej kultowych. Knajpa to dość nieostre określenie. Raczej trzeba to poczuć niż zrozumieć. „Zwis” jest knajpą. Kawiarnia „Grandu” knajpą nie jest. Knajpami nie są restauracje i lokale hotelowe. Knajpy w Krakowie są od siebie odległe „o rzut beretką”, albo jeszcze bliżej. Poza tym nie każda knajpa jest kultowa. Ze „Zwisu” można „rzucić beretką” na Sławkowską 4 do „Free Pubu”. Adres trzeba znać, bo „Free” to jedno z licznych miejsc w Krakowie, które nie ma żadnego szyldu. Taki sygnał, że trzeba wiedzieć, gdzie trzeba bywać. W tej klasie „Free Pub” był chyba pierwszy. Jej

współwłaściciel to Artur „Baron” Więcek znany jako współscenarzysta telewizyjnej *Filozofii po góralsku*, *Rozmów na koniec wieku* oraz filmu *Anioł w Krakowie*. Mroczna i niezbyt elegancka, ale uznana za kultową, knajpa miała być przeznaczona dla aktorów i dziennikarzy. I rzeczywiście, młode pokolenie tychże tam bywa. Krążą plotki o erotycznych ekscesach podczas całonocnych zabaw, ale nie sposób znaleźć naocznych świadków. Gwarantuje jednak, że tańce na stołach mają miejsce, a śpiewająca aktorka Marta Bizoń w stroju i peruce a la Marilyn Monroe stojąc na barze śpiewała dla Barona *Happy Birthday*.

Znowu krótki „rzut beretką” i jesteśmy w Zaułku niewiernego Tomasza. Lokale są tu trzy, ale knajpa jedna - „Dym”. Podobno nazwa pochodzi od tytułu filmu, ale jest też teoria, że raczej od ilości tytoniowego dymu. Wnętrze jest tak zagracone, że aż dziwne, iż mieszczą się tu jeszcze klienci. Tymczasem jest tak jak twierdzi *City Magazine*: „Trudno stwierdzić, co ma w sobie to miejsce, że przyciąga takie tłumy”. Może to przypadek, ale byłem tam świadkiem pobicia światowego rekordu w ilości dziennikarzy i literatów zebranych w jednym czasie i miejscu usiłujących pożyczyć od siebie nawzajem pieniądze.

Teraz mały spacerek na coraz piękniejszy krakowski Kazimierz. Omijamy ul. Szeroką przeznaczoną raczej dla turystów i kierujemy się od razu w stronę Placu Nowego, o którym w

Krakowie nikt nie powie inaczej niż Plac Żydowski. Jeżeli to dzień powszedni, to na tym ciągle czynnym placu targowym można, w towarzystwie przekupek i pod gołym niebem, zjeść najsmakowniejsze w mieście flaki. Szukać ich należy w poaustrijackim „okrągłaku” na środku targowiska. Na rogu Estery (legendarnej kochanki Kazimierza Wielkiego) pub „Singer”, pierwszy kultowy na Kazimierzu. Jak zwykle, kto nie wie gdzie, ten nie znajdzie. Nazwa w sam raz, bo za stoliki służą maszyny do szycia marki Singer. Oprócz tego w ostatniej salce przez pewien czas stało łóżko!? Do niedawna było to ulubione miejsce studentów Szkoły Teatralnej, pomimo tego, że szkoła i akademik są raczej z drugiej strony miasta. Kto zostanie tu do rana usłyszy rzadkie już w milionowym mieście odgłosy budzącego się do życia targu. (W niedzielne przedpołudnie to największy dom towarowy pod chmurką z używanymi ciuchami).



„Miasto Krakoff”, Kraków

Po drugiej stronie placu „Alchemia”. Choć kultowa to łatwo trafić, bo wyjątkowo ma szyld z nazwą. Miejsce miało być magiczne i udało się. Nic dziwnego, że właśnie tu krakowscy poeci wręczali sobie ostatnio nagrody. Czarodziejski i nieco dekadенcki lokal z wielką skrzydlatą rzeźbą przy wejściu, widokiem na małomiasteczkowy rynek i wielką szafą, która okazuje się być nie zwyczajnym meblem, ale (jak w teatrze Jarockiego czy Kantora) przejściem do drugiej, ukrytej części knajpki. Kto będzie miał dość czarów i chce czegoś aż nazbyt realnego powinien szybko wrócić do centrum na Łobzowską do „Miasta Krakoff”. To jedna z ciekawszych knajp o charakterze klubowym. Na ścianach krakowski pop art. Telewizory bez ekranów, ale za to z niespodziewaną zawartością. Z równym powodzeniem można tu trafić, na koncert techno, festiwal Audio Art, bal rosyjski, spektakl „Kontrabasisty” w języku niemieckim czy też Czesława Miłosza wręczającego swoje nagrody dla młodych zdolnych. Podobno, gdy poinformowano noblistę, że znalazł się w bardzo popularnym klubie młodzieżowym, mistrz podniósł głowę rozejrzał się i powiedział: „aha”.

Artykuł był publikowany w „Liście oceaniczny” - dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto.

Andrzej Kaczmarczyk, aktor, dziennikarz, urodzony w Krakowie. Absolwent krakowskiej Szkoły Teatralnej. Po przygodach z teatrem STU, Ludowym i offowym Teatrem Mandala, zmienił zawód na dziennikarski. Związany z Polskim Radiem Kraków. Jego artykuły i felietony publikowane są w „Czasie Krakowskim”, „Życiu”, „Nowym Państwie” oraz w „Tygodniku Powszechnym”.

Polacy w Petersburgu

**II Światowe Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju,
Pułtusk 2019 r. Materiały z konferencji.**



Jerzy Downar w czasie swojego wystąpienia podczas Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju w Pułtusku, we wrześniu 2019 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Downar (*Petersburg, Rosja*)

Według Dostojewskiego Petersburg to „miasto umyślne”. Ma cztery wymiary, czwarty to kropka na mapie, czyli dążenie do nieskończoności. Bycie (życie) w Petersburgu toczy się nad przepaścią, poręcze schodów zawisają nad przepaścią matematyczną, bo miasto to matematyczne, bo miasto to widmo, które swoich mieszkańców zamienia w widma. Północna Palmira to Palmira „widemna”, to „widemne” miasto.

Na przełomie wieków XIX i XX nad Petersburgiem zauważono „przedpotopowe pociemnienie obłoków” i „zaśmiertelną” symbolikę, z czym łączono nowy kosmiczny rytm i tworzenie nowej kosmologii oraz kosmogonii. Według niej kosmiczny pejzaż Petersburga składa się z mgły, cieni i chaosu. To wszystko przydaje jemu złudę i nierealność. Tak odczuwał i przyjmował to miasto na początku XX wieku Andrzej Biały w swojej wybitnej powieści „Petersburg”. A dalej narzekał na to, że nadchodząca materialnie-mechanistyczna kultura przeszkadza nam odbierać to miasto i miejsce w jakim się znajduje, w taki sam sposób jak postrzegali je jego mieszkańcy w dalekiej przeszłości.

W 1300 roku Szwedzi wybudowali tu miasto i nazwali je Landskrona. W 1301 roku najeźdźcy z Republiki Nowogrodzkiej pod dowództwem księcia Andrzeja, syna Aleksandra Newskiego, zburzyli je i do szczętu spalili. W 1348 roku szwedzki król Magnus zajął wyspę Brzozową, ale nie na długo, po czym w ujściu Newy zaczęły pojawiać się rosyjskie osiedla. Ci co byli na prawym brzegu Newy, należeli do Spasko-Gorodeńskiego „pogostu”, Orzechowskiego powiatu, na lewym brzegu - do Nikolsko-Izorskiego „pogostu”, Nowogrodzkiego powiatu. Największa liczba osiedli znajdowała się nad rzeką Ochta i należała do noworodzkiego posadnika (urzędnika książęcego, red.) Timofieja Jewstafjewicza Gruzowa. Współczesna Piotrogradska Strona, była wówczas wyspą o nazwie Fominowa, posiadała pięć wiosek, a w nich trzydzieści dwa dziedzińce i była

przydzielona do gminy Łachta, za właściciela której uważano namiestnika miasta Orzeszka. Wyspa Wasylewska była wtedy własnością dwóch posadników Samsonowa i Wjazgunowa. Miejscowość wzdłuż lewego brzegu Newy, na przeciwko wyspy Fominoj (dzisiejsza Admiraltyjskaja część miała nazwę Fominego końca). Na miejscu dzisiejszej Aleksandro-Newskiej Ławry znajdowała się wioska o czterech dziedzińcach i nazywała się Wichrowo-Fiedorkowo. Na lewym brzegu wyspy Jełagina była wioska Spaskoje, a dalej na miejscu obecnej Staroj Dierewni myza (budynek lub grupa zabudowań należących do jednej rodziny, red.) Ustinowa, koło Letniego Ogrodu myza Pierwuszyna, na Fontance - Usadnica itd. W sumie myz i wiosek było około czterdziestu. Pobierano podatki do skarbu posadników, najpierw płacono sigami, piwem i lnem, a przez jakiś okres czasu pieniędzmi. W 1593 roku na tych ziemiach przeprowadzony był tak zwany „obysk” (spis, red), w rezultacie czego okazało się, że mieszkańcy tych wiosek strasznie biedują, ale żadnych kroków mogących zmienić sytuację, nie podjęto.



Grawiura: St. Petersburg i Newa 1753. Valeriani Joseph i Machaew Michaił Iwanowicz, fot. wikipedia

W 1583 roku Szwedzi ponownie próbowali zawładnąć ujściem rzeki Newy i wznieść nową fortecę, lecz bezskutecznie. Rosjanie trzymali w rękach tę miejscowość aż do nastąpienia tzw. „smutnego wremienia”, kiedy to Szwedom udało się założyć w ujściu rzeki Ohta miasto Nien, a na przeciwległym brzegu – twierdzę Nienszanc. 1 maja 1703 roku Rosjanie opanowali tę twierdzę, a 6 maja Piotr I odniósł zwycięstwo nad Szwedami koło obecnego Jekatierinhofa, biorąc jako trofea dwa wojskowe statki. To było pierwsze morskie zwycięstwo Rosjan. Piotr I kazał upamiętnić to wydarzenie medalem z napisem „niebywajemoje bywajet” i był tak pewien tego, że jest niezwyciężony, że 29 czerwca nad brzegiem Newy założył miasto, które nazwał Sankt-Petersburgiem. Będąc wielkim reformatorem postanowił połączyć w tym mieście Rosję z Europą, Wschód z Zachodem, Europę z Azją. Niestety sojusz ten nie dał oczekiwanych rezultatów, oprócz rozwoju cywilizacji, który ujawnił się tylko i wyłącznie w zewnętrznych stronach życia i w przeobrażeniu Rosji w „śpiącą piękność”. Pozostał bardzo duży kontrast

pomiędzy Zachodem a Wschodem. Syntezy osiągnąć się nie udało i nie ma jej do dziś.

Tym niemniej przez wiele dziesiątek, jak nie setek lat istniała tutaj liczna polska społeczność. Oblicza się, że od 1703 roku, od kiedy Piotr I założył miasto, do 1914 roku przeszło przez nie ok. 250 tys. Polaków. Właściwie losy Polaków wiązały się z wieloma krajami i miastami. Różne były ku temu przesłanki i siły napędowe. Polacy docierali wszędzie, jednak w czasie długich lat rozbiorów, kierunek północno-wschodni okazywał się jednym z najbardziej uczęszczanych. Jego docelowym punktem był Sankt-Petersburg, od 1712 roku stolica olbrzymiego imperium rosyjskiego. Początkowo przyjeżdżali tu Polacy w sprawach urzędowych, potem ci, którzy mieli do załatwienia własne sprawy majątkowe, jak i ci którzy chcieli się wzbogacić. Potem zaczęli przyjeżdżać uczeni, literaci, kompozytorzy, ludzie teatru, fachowcy z branż technicznych. Mieszkali tutaj wybitni polscy politycy, ludzie intelektu i pióra, uczyli się przyszli lekarze, inżynierowie, mistrzowie sztuk plastycznych. W Petersburgu przebywał najwybitniejszy z polskich wieszczów narodowych Adam Mickiewicz.

Przybywało wielu obywateli średnich klas, ale jeszcze liczniejsze masy biedaków, tysiące bezimiennych robotników, wyrobników, służby domowe, uciekające z Polski przed nędzą. Były też, niestety, bezdomne dzieci podrzucane najczęściej u bram

kościółów. Ale była również i piękna działalność charytatywna (przytułki, warsztaty, ochronki), zasługujące na najwyższy szacunek i uznanie.

Jedni przyjeżdżali do Petersburga po wielką radość życia i karierę, drudzy po chleb powszedni. Jedni przyjeżdżali dobrowolnie, drugich przywożono pod eskortą i w kajdanach. Czasami ludzie wyrzekali się swej polskości, albo też starannie ją ukrywali. Jednak mimo wielkich przeciwności (upadek w 1831 roku powstania listopadowego, a w 1864 - styczniowego) polskość w tym mieście bujnie rozkwitała. Z biegiem lat pięknie rozwijało się polskie życie kulturalne, społeczne i religijne, aż do 1918 roku, kiedy to większość Polaków opuściła to miasto wracając do swojej Ojczyzny.

Nie w polityce, ale w nauce, w sztuce, w teatrze, a zwłaszcza w przemyśle zajmowali Polacy wybitne, a czasem nawet i kluczowe stanowiska. Uczciwie i sumiennie spełniali swoje obowiązki, pracowali wydajnie, czasami otrzymywali ordery i awanse. I chociaż działali, mówili i pisali po rosyjsku, jednak zawsze czuli się Polakami. Nie zapominali języka, nie zapominali o swojej przynależności narodowej i religijnej. Często finansowo pomagali różnym polskim instytucjom swoimi wpływami czy też współpracą, a także swoimi zapisami testamentowymi. I prawie wszyscy chcieli umierać w Polsce, na swej ojczystej ziemi.

Każdy z nich mógłby na pewno powtórzyć za wielkim malarzem Aleksandrem Orłowskim, członkiem Akademii Petersburskiej: „Kocham Polskę i Polaków”.



Petersburg, miasto nad Newą, fot. pixabay

Jakże barwne i ciekawe są dzieje i losy Polaków w Petersburgu. Jeśli weźmiemy do ręki np. Polski Słownik Biograficzny, to zobaczymy, przy jak wielu nazwiskach występuje nazwa Petersburg, jako miejsce nauki, pracy, gościnnych występów, czy też innej formy działalności. Piękną kartę stanowiła na przykład działalność Rzymskokatolickiego Towarzystwa Dobroczynnego przy kościele Św. Katarzyny, z niezapomnianą postacią ks.

Antoniego Małeckiego, późniejszego biskupa i syberyjskiego zesłańca. Jakże bolesne, wręcz tragiczne i pełne męczeństwa dla Kościoła w Piotrogradzie-Leningradzie i Polaków były czasy bolszewickiej dyktatury proletariatu, z męczennikiem rozstrzelanym w Moskwie na Łubiance ks. Konstantym Budkiewiczem i skazanym na śmierć Janem Cieplakiem oraz tysiącami tych, którzy dzisiaj spoczywają w braterskich mogiłach w Lewaszowie, na cmentarzu ofiar stalinowskich represji 1937-1954. I nie tylko tam. W okresie od 1939 do 1960 roku polscy więźniowie znaleźli się w wiosce Jogla obwodu Nowgorodzkiego, w uroczysku Sandormoch w Karelii, w Kotlasie, w Workucie, na wyspach Solowieckich i w wielu innych miejscach.

Lewaszowo - to miejsce tajnego pochówku ofiar NKWD, które było czynne od sierpnia 1937 roku (tuż po rozkazie Jeżowa, po którym rozpoczęto masowe represje, zwłaszcza przeciwko Polakom) aż do roku 1954. Według oficjalnie podanych relacji tu leży 47 tys. zamordowanych, ludzi wielu narodowości i wyznań, najwięcej Rosjan, Polaków i Finów z Leningradu i Obwodu Leningradzkiego. Liczba Polaków wynosi około 4,5 tys., w tym zidentyfikowanych zaledwie 2 tys. Otwarcie cmentarza Lewaszowskiego odbyło się dopiero w roku 1989. Pojawiły się tutaj pomniki i krzyże. Polski pomnik w kształcie uchylonego krzyża z napisem po polsku i po rosyjsku: „**Wybaczymy i prosimy wybaczenie**” był ustawiony 30 października 1993 r.

Rekonstrukcja odbyła się w 1998 roku i do krzyża została dołączona kamienna tablica z orłem i napisem: **„Pamięci Polakom - ofiarom represji, rozstrzelanych w latach 1937-1938. Rodacy”**.

W wiosce Jogla od lipca 1942 aż po 1951 rok był czynny obóz N 270 NKWD, przeznaczony dla więźniów wojskowych i internowanych. Wśród nich byli Niemcy, Węgrzy, Austriacy, Włosi oraz przedstawiciele wielu innych narodowości. Byli tutaj i Polacy - internowani żołnierze polskiej Armii Krajowej. W styczniu 1946 roku ich liczba wynosiła 4230 osób, z której w rosyjskiej ziemi pozostało na zawsze około 500. Wszyscy oni cierpieli głód, dotykały ich choroby, wśród których najbardziej rozpowszechniona była gruźlica. Jeńców wykorzystywano przeważnie w kopalniach węgla brunatnego i w budownictwie. 4 sierpnia 1992 roku odbyło się upamiętnienie ofiar tego obozu i został postawiony 6-metrowy krzyż katolicki z napisem: **„Żołnierzom Armii Krajowej. Koledzy i Rodziny. Jogla”**. Tego samego dnia były odczytane modlitwy żałobne i ustawione krzyże na cmentarzach w Borowiczach, Szybotowie, Opocznie i Ustje.

Uroczyszcze Sandormoch koło Miedwieszjegorska było wykorzystywane jako miejsce mordu mieszkańców pobliskich okolic Karelii i więźniów Bielomoro-Baltyckiego obozu NKWD. (Od sierpnia 1937 do 24 grudnia 1938 roku

zamordowano tutaj około 10 tys. ludzi wielu narodowości, wśród nich 212 Polaków, w tym 23 księży). 27 października 1997 roku na cmentarzu Sandormoch ustawiono pierwsze upamiętniające znaki. Przy każdej z 250 morderczych jam postawiono kaplicę, a koło jednej z nich 4-metrowy krzyż katolicki z napisem: **„Polakom, którzy odnaleźli w tej ziemi wieczny spokój. Rodacy”**.

17 listopada 1995 roku w mieście Kotlas obwodu Archangelskiego zostały ustawione dwa krzyże i tablice pamiątkowe w miejscu dwóch braterskich mogił, poświęcone tym więźniom, którzy w latach 1931-1953 przeszli przez Kotlaslag i kotlaską zsyłkę. Wiadomo, że zginęły tutaj tysiące ludzi różnych narodowości, natomiast liczba Polaków jest do tej pory nieustalona. Napis na tablicy pamiątkowej brzmi: **„Zamordowanym Polakom, Rosjanom i wszystkim innym, którzy leżą w tej ziemi: matkom, ojcom, siostrom, braciom, córkom, synom... Wieczne ukojenie. Wieczna pamięć. Rodacy z Polski. Warszawa. 1995 r.”**.

Workuta - to stolica GUŁAG-u. W samym mieście i jego okolicach od 1938 do 1960 roku znajdowało się ponad 50 obozów dla różnych grup jenieckich. Przez te obozy przeszły setki tysięcy ludzi, w tym tysiące Polaków, setki z tych tysięcy zostało tutaj na zawsze.

GUŁAG na wyspach Solowieckich. Represje wśród duchowieństwa katolickiego w Rosji bolszewickiej rozpoczęły się od razu po ustaleniu bolszewickiej władzy. Pierwsza ekipa katolików obrządku wschodniego była przywieziona na wyspy w 1924 roku. Pierwszy ksiądz katolicki - w roku 1926. W 1929 roku 23 księży było odizolowanych na wyspie Anzer, w roku 1932 ich było już tutaj 32, a w 1937 roku w obozie Solowieckim znajdowało się około 50 księży (większość narodowości niemieckiej).

W tym samym roku uchwałą osobnej trójki NKWD obwodu Leningradzkiego 33 z nich rozstrzelano. Na wyspach Solowieckich w przyszłości planuje się ustawić krzyż dla upamiętnienia zamordowanych.

W Murmańsku na jednym z cmentarzy znajdują się cztery mogiły polskich marynarzy. W latach 1942-44 pełnili oni obowiązki konwoju wojskowego na polskich statkach, broniąc alianckich statków, dostarczających ZSSR broń i żywność. W 1989 roku powstał tu pomnik. Napis w języku polskim brzmi: **„W 50-tą rocznicę wybuchu II wojny światowej w hołdzie marynarzom polskim, poległym w konwojach do Murmańska. Rodacy”** oraz **„Przechodniu powiedz Polsce, żeś widział nas tutaj leżących, gdyśmy świętym jej prawom posłusznym będąc - polegli”**.



Dawny Petersburg

Od tego tragicznego czasu minęło 75 lat, wiele zmieniło się na tym świecie.

I właśnie teraz powstaje pytanie – jak traktować dzisiaj polski Petersburg? Jaka jego jest skala i jakie jego znaczenie w życiu społecznym? Można szukać w każdym domu na Newskim Prospekcie polskich śladów, a inżynierów i architektów Petersburga z polskimi nazwiskami traktować jako Polaków. Do tej pory nie usystematyzowano tych informacji. Kiedy jednak sięga się do regularnego, informacyjno-analitycznego medium albo, encyklopedii elektronicznej, rezultat bezpośrednio zaczyna

zależać od „miejsca montowania” i „optyki”.

Jakie zatem parametry należy wziąć za podstawę dla określenia „polski”? Antropologię (język, wyznanie), może psychologię (samoidentyfikacja), a może politykę (obywatelstwo, służba państwowa) czy może geograficznie (miejsce urodzenia lub zamieszkania)? Przymiotnik „polski” w języku rosyjskim nie uwzględnia czasowych, przestrzennych lub innych cech, właściwych kategorii kwalitatywnych przymiotników, chociaż zawsze je ujawnia. Między innymi z przymiotnikiem „rosyjski” historia jest taka sama. Kiedyś był „ruskim” – stał się „polskim”. Na przykład, petersburski architekt Marian Marianowicz Peretiatkowicz (1872-1916) we wszystkich rosyjskich źródłach był „rosyjskim budowniczym i teoretykiem urbanistyki”, natomiast w Polsce – to polski architekt, ewentualnie „rosyjski architekt polskiego pochodzenia”. Przejście z rosyjskiego stanu na polski jest widoczne też u innego wybitnego petersburskiego architekta, twórcy polskiego modemu Mariana Stanisławowicza Lalewicza (1876-1944). Jednak z tym twórcą jest prościej: on doczekał się odrodzenia II Rzeczypospolitej i w końcu 1918 roku przeniósł się z Petersburga do Warszawy, zmienił obywatelstwo, tak więc teraz w obu państwach występuje jako „rosyjski i polski architekt”. We współczesnej samoidentyfikacji dość często występuje taka sama sytuacja nieokreśloności – nie tak, jak i nie, dokładnie i tak i nie.

- Pan jest Polakiem? - zapytał się pewnego razu dyrektora Ermitażu Michała Piotrowskiego Adam Michnik. - Mój dziadek był katolikiem - odpowiedział Michnikowi pan dyrektor. Jak widzimy i dzisiaj to co dotyczy "polskiego Petersburga" powtarza się tak samo, jak i za czasów ostatniego imperium.



Petersburg na dawnej pocztówce

Dlatego najbardziej prawidłowym byłoby opowiadać o „polskim Petersburgu” w nowoczesnej, przestrzennej paradygmie, z opisaniem fal migracyjnych i ich wpływu na modernizację przestrzeni miasta w porównywalnej perspektywie. 100 lat temu

polska obecność na newskich brzegach była dość znacząca: w 1897 roku w Petersburgu mieszkało więcej jak 36 tys. Polaków (3% obywateli, trzecie miejsce po Rosjanach i Niemcach), istniały trzy polskie banki, drukowano gazety w języku polskim za środki pieniężne reklamodawców i ze składek zamożnych petersburskich Polaków. Polacy nad Newą okazali się najbardziej mobilną grupą, co szczególnie stało się widocznym na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to z Polski do stolicy imperium przyjeżdżało tysiące młodych, ambitnych ludzi, aby tutaj studiować, robić karierę albo... rewolucję. Inżynierowie, lekarze, lotnicy, lingwiści, muzycy, adwokaci, urzędnicy z polskimi korzeniami byli pożądanymi w części wykształconego środowiska miasta, rywalizowali z Niemcami, mimo, że dość często z nimi przegrywali. Jeżeli przypomnieć Polaków - jeńców petersburskich więzień oraz priorytet policji politycznej dotyczącej wrogów wewnętrznych (Polacy na pierwszym miejscu przed Żydami i studentami), to otrzymamy pełną charakterystykę polskich protokołów migracyjnych w stolicy Rosji na początku XX wieku. Poza tym Polacy petersburscy byli liderami samoorganizacji: co najmniej trzydzieści organizacji sportowych, studenckich, religijno-filozoficznych i innych polskich stowarzyszeń zarejestrowano tutaj po 1905 roku. W odróżnieniu od Moskwy, Petersburg był najbardziej polskim miastem w Rosyjskim Imperium. Nawet ci, którzy przyjechali tutaj wbrew swojej woli, jak na przykład Adam Mickiewicz, czy Stanisław Witkiewicz, zostawali natchnieni skalą możliwości i zaczęli

wierzyć w siebie.

Powstanie II Rzeczypospolitej spowodowało polskie przesiedlenia z Petersburga. Repatriacja, wojny, emigracja, ale przede wszystkim strach i asymilacja doprowadziły do tego, że dzisiaj w 5,5 milionowym Petersburgu tylko 2,5 tys. mieszkańców uważa się za Polaków (według spisu ludności z 2010 roku) i jeszcze trochę w obwodzie leningradzkim. Dzisiejsza skala petersburskiej Polonii - narodowościowa mniejszość tego miasta, zajmuje 20 miejsce i wygląda szczególnie kontrastowo na tle, powiedzmy, współczesnego Londynu, gdzie zamieszkuje 200 tys. Polaków, czyli 4,2 razy więcej, aniżeli dzisiaj w całej Rosji, czy też stołecznego regionu Paryża Il-de-Frans, gdzie osiedliło się ok. 40 tys. Polaków. W XXI wieku Polacy nadal zachowują swoją mobilność, tylko bardzo rzadko wybierają Petersburg jako swoje miasto i miejsce do osiedlenia się i samorealizacji. Chociaż niektórzy w Polsce nadal uważają Petersburg, za swoją straconą stolicę.

Cóż więc zostało z tamtych czasów? Polska nadal istnieje w petersburskiej toponomice. Polski ogród przeżył rekonstrukcję, tylko wejście do niego stało się płatne. Ulica Warszawska biegnie w tym samym kierunku, w którym biegła tutaj kiedyś stara Warszawska kolej. Dworzec kolejowy, który nazywa się Warszawski, w 2001 roku został przekształcony w targowy kompleks pod nazwa "Ekspres Warszawski", natomiast zrobić z

niego drugie Muzeum d'Orsey, niestety, nie udało się. Ulica Kościuszki, nazwana tak pół wieku temu, została nadal ulicą Kościuszki. Restauracja „Wisła”, która była otwarta jeszcze za Sowietów, tak naprawdę nigdy polską nie była, a obecnie stała się zwykłą kawiarnią. Już dawno został zamknięty bardzo popularny polski sklep kosmetyczny „Wanda” w domu № 111 przy Newskim Prospekcie, chociaż tę nazwę nadal daje się petersburskim sklepom – kwiaciarniom, różnego rodzaju butikom z odzieżą dla kobiet i perfumeriom, tylko że import tych artykułów z Polski jest znikomy, jeżeli nie powiedzieć zerowy. Anegdotkę o Prospekcie Solidarności dzisiaj przypominają rzadko. Ów prospekt pojawił się w nowej sypialnianej dzielnicy na prawym brzegu Newy w 1971 roku, a po 13 grudnia 1981 w leningradzkim folklorze pojawiła się taka anegdotka:

“Urząd miasta postanowił przemianować prospekt Solidarności na ślepy zaułek Jaruzelskiego”.



Petersburg na dawnej pocztówce

Nowe polskie nazwiska przez ostatnie 25 lat nie pojawiły się: ulicy Mickiewicza nadal nie ma, zresztą ulicy Mandelsztama tak samo. Pojawiło się popiersie Mickiewicza, jeszcze w 2007 roku koło jedynej w Rosji polskiej szkoły w Grafskim zaułku, która niestety od niedawna przestała być polska. Co jeszcze? Jak się okazało, współcześni polscy architekci bezwiednie biorą udział w obecnym budownictwie tutaj w Petersburgu, lub w jego okolicach, czego się nie afiszuje, ale na przykład nowy gmach lotniska "Pułkowo" bardzo przypomina lotnisko Fryderyka Chopina w Warszawie.

Wywołuje to pewne zdziwienie, ale obecnie w trzech

petersburskich teatrach wystawiają sztukę Leonida Zorina "Warszawska melodia". Ta popularna sztuka jest grana chyba od 50-ciu lat, jeżeli się nie mylę, od 1967 roku, czyli od czasu, kiedy mieszkańcy Związku Radzieckiego ogólnie interesowali się polskim teatrem i kinem. Można przypuścić, że to zainteresowanie opiera się na polskim kontekście: Warszawa, polska dziewczyna Hela, możliwość śpiewania na scenie piosenek Ewy Demarczyk i Sławy Przebylskiej. I wcale nie chodzi tu o trafne oddanie ludzkich stosunków poprzez przestrzenne, polityczne oraz mentalne granice.

W Petersburgu mieszka - bo ma żonę Rosjanę - i działa polski reżyser Andrzej Bubien, który wystawia bardzo ciekawe spektakle. W jego spektaklach grają też polscy aktorzy, którzy ukończyli tutaj studia artystyczne. Przed rosyjską agresją na Ukrainie lubił przyjeżdżać do Petersburga Krystian Lupa i Daniel Olbrychski, ale w ostatnich latach ich tutaj nie widzimy. Utworzone jeszcze za czasów radzieckich stowarzyszenia wzajemnej przyjaźni zniknęły bez śladu. W czasach „pierestrojki” Polacy (według spisu z 1989 roku było nas ok. 8 tys., czyli 9-te miejsce wśród mniejszości narodowych) byli liderami w kręgu wspólnot nacjonalnych. W Petersburgu powstało Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie „Polonia”, które zaczęło starać się o powrót kościelnych domów i pomieszczeń, o odrodzenie polskiej szkoły, zaczęło drukować też biuletyn. W 2007 roku w obecności prezydentowej Marii Kaczyńskiej,

Ludmiły Putinej i byłego gubernatora miasta - Walentyny Matwijenko został otwarty Dom Polski w zaułku Sapiornym, niedaleko od Generalnego Konsulatu USA. Zajmuje parter dużego domu i jest własnością Polski. Tutaj mieszczą się Stowarzyszenia „Polonia”, „Związek Polaków imienia Antoniego Małeckiego”, jedyne na całą Rosję wydawnictwo „Gazety Petersburskiej”, biblioteka z dużą ilością polskich książek, no i jeszcze odbywają się tu kursy języka polskiego. W 2010 roku bibliotece zostało nadano imię Rajmunda Piotrowskiego, wybitnego petersburskiego lingwisty i pierwszego prezesa „Polonii”. Oczywiście, że zasadniczo głównymi autorami i organizatorami są Generalny Konsulat RP w Petersburgu, Instytut Polski no i jeszcze parę lat temu był Wydział Handlu i Inwestycji, ale w ostatnich latach polski biznes wycofał się z rynku rosyjskiego. Dom Polski też jest tymczasowo zamknięty z tego samego powodu. To co mamy na dzień dzisiejszy, czym żyjemy obecnie, to wszystko można wyliczyć na palcach jednej ręki - chociaż nadal odbywają się wystawy książki polskiej, fotogalerie, konkursy, festiwale filmowe (tygodnie kina polskiego) oraz różnego rodzaju konferencje i dyskusje.

Na tym tle szczególne znaczenie mają samodzielne poczynania, które nadchodzą z zewnątrz. Na przykład pewien polski wielbiciel tanga Krzysztof Marczyńczyk zaczął wydawać tutaj gazetę pod nazwą „Tango. Sankt-Petersburg”. Niejaki Walery Pisigin na swój koszt wydał książkę „Biesiady polityczne. Polska

1989”, a piłkarze klubu “Ingrija” zorganizowali „fleszmob” z czytaniem wierszy Zdzisława Dembickiego.

Nie ma ich w pejzażu petersburskim, ale proszą się na świat - moim zdaniem - takie obiekty jak restauracja polska, sklep książki polskiej, polska galeria itd. Ale dopóki tego wszystkiego jeszcze nie ma, to jeżeli dobrze pogrzebać w rodowodzie prawie każdego z moich rosyjskich znajomych, można odnaleźć polską babcie, polskiego pradziadka, polskiego wujka, tak że pracy w opisywaniu współczesnego “polskiego Petersburga” na długo wystarczy.

Jerzy Downar ma opracowany program muzyczno-patriotyczny, z gitarą, na tle wyświetlanych na ekranie fragmentów starych kronik, fotografii, szyldów itd. Będzie można się z nim spotkać podczas wieczoru artystycznego w poniedziałek 27 stycznia 2020 r. w Lublinie, w Domu Kultury LSM. Chętnych serdecznie zapraszamy.

Redakcja

Program artystyczny Jerzego Downara:

<https://www.youtube.com/watch?v=PzTIPO6xots>

Z rodzinnego albumu. Zamość.

Rozpoczynamy publikację wspomnień Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej, twórczyni historii pojazdów konnych, przez wiele lat związanej z Powozownią Zamkową w Łańcucie. „Z rodzinnego albumu” to losy rodziny pochodzącej z Wołynia, z dramatycznymi dziejami w tle, ale też pasjonująca praca, podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi. Autorka dzięki wielkiej wrażliwości i talentowi literackiemu wspaniale nakreśliła życie Polaków, dla których, mimo trudnej historii, polska tożsamość i dziedzictwo kulturowe stanowiły największą wartość.

Kolejne części będą się ukazywać w trzeci piątek miesiąca.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. magazynu „Culture Avenue”.



Dom drewniany w Zamościu, w latach 1927-1975 własność Józefa Fabijańskiego, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Moje życie związane jest z kilkoma miejscowościami. Wszystkie są historycznie ważne, kulturowo bardzo ciekawe, artystycznie piękne i słynne.

Urodziłam się w Zamościu - późnorenesansowym mieście-twierdzy założonym w 1580 r. Przez hetmana Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Miasto to zaprojektował w całości architekt - urbanista włoskiego pochodzenia, Bernardo Morando. Zamość posiada ok. 120 zabytków architektury, do których należą m.in. najwspanialsza kolegiata (obecnie katedra),

ratusz wraz z zespołem podcieniowych kamienic wokół rynku, zamek, a może raczej pałac Zamoyskich, przed którym postawiono pomnik założyciela, Jana Zamoyskiego na koniu, wykonany w konwencji znanych arcydzieł renesansowej rzeźby włoskiej. Pięknie się tam prezentuje i przypomina początki naszej Padwy Północy, jak zwykle się określać tę perłę miast. Zabytkiem jest gmach Akademii Zamojskiej (1594), do której uczęszczałam przez sześć lat szkoły średniej, kościół oo. Franciszkanów (przed wojną i po wojnie było tam kino i sala widowiskowa, gdzie graliśmy przedstawienia i słuchaliśmy koncertów znakomitych artystów polskich). Imponujący swą stylową formą architektury militarnej zespół fortyfikacji związany jest ze znanymi nazwiskami inżynierów i generałów włoskich i austriackich. Zachowana jest pamiątkowa cela, w której rząd carski więził Waleriana Łukasińskiego w latach 1824-26 za działalność patriotyczną. Jedną z pierwszych budowli wzniesionych przez B. Moranda był arsenał, usytuowany obok pałacu, mieszczący dzisiaj ciekawe zbiory muzealne z zakresu militariów. Istnieją cztery bramy wjazdowe w fortyfikacjach miasta z tym, że pierwsza brama Lubelska została zamurowana na pamiątkę przejazdu arcyksięcia Maksymiliana austriackiego po wzięciu go do niewoli w 1588 r. w przegranej bitwie pod Byczyną. Zwycięskie wojska hetmana konwojowały dostojnego więźnia w małej karetce, ale przez tę bramę nikt już więcej nie przejechał. Wybudowano drugą, obecnie zrekonstruowaną. Miasto Zamość zostało wpisane w 1980 r. na listę międzynarodowego

dziedzictwa kulturowego i jest Pomnikiem Historii. Jest to także miasto-bohater odznaczone Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Na przestrzeni dziejów Zamość wiele wycierpiał. Po pierwszym rozbiore Polski w 1772 r. zajęli miasto Austriacy. Dokonali wielu zniszczeń jego form artystycznych, traktując renesansowe ozdoby np. attyki, jako zbędne dla koszar wojskowych. Zubożona przez to została ich koronkowa dekoracja, jedyna w skali całego rynku, tak unikatowego miasta, gdzie każda kamienica posiadała na parterze podcienia, reprezentacyjne pierwsze piętro (odpowiednik piano nobile w pałacach) i mezzanin z attyką zasłaniającą pogrążony dach, zupełnie niewidoczny. Było to cudownie pomyślane, bowiem dekoracja architektoniczna i sztukatorska, na każdej kamienicy inna, podkreślona tu została kolorem mocnym, ale harmonizującym z całością. Chciałoby się powiedzieć - kolorowe, koronkowe miasto. Niestety, nie przywrócono tego w czasie rewaloryzacji trwającej długie lata 70. i 80., a mającej na celu m.in. „wydobycie zatartych walorów artystycznych”.

Zamość, chociaż uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie na tych terenach się toczyły, nigdy nie był zniszczony działaniami wojsk. Twierdza zdała egzamin. Najboleśniej ostatnia wojna światowa lat 1939-1944 (dla tych terenów) pozostawiła Pomnik Martyrologii w rotundzie odległej od murów miasta ok. 1 km. Jest tam dzisiaj Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny. Była to

niegdyś działobitnia wzniesiona w latach 1825-31 przez rząd carskiej Rosji (od 1815 zabór rosyjski) z czerwonej cegły w kształcie obwarzanka z celami wewnątrz i dziedzińcem z bramą wjazdową. Na tym dziedzińcu palono zwłoki więźniów trzymany w okropnych warunkach i ścisku. Rozstrzeliwani byli na miejscu. Do dzisiaj brama nosi ślady odłamków kul, a wyrwa w murze po lewej stronie za bramą, za drutem kolczastym - to miejsce straceń. Ginęła tu przede wszystkim inteligencja, działacze ruchu oporu i ludzie o zdolnościach przywódczych. Ginęły tu również dzieci przywożone z terenów pacyfikowanych przez hitlerowców. Ostatni ordynat zamojski, senator Jan Zamojski, wraz ze swoją żoną uratowali 300 dzieci, organizując im opiekę, wyżywienie, mieszkanie i naukę w Zwierzyńcu, gdzie mieszkali w latach okupacji. Te miały szczęście, po wojnie niektóre odnalazły rodziców.

W latach po okupacji hitlerowskiej Zamość leczył rany psychiczne i rozwijał się edukacyjnie i kulturowo. Było dużo szkół, także średnich, teatr amatorski, oczywiście przedstawienia szkolne, rewie, pokazy sportowe, ogniska harcerskie z artystyczną oprawą. Znakomicie dobierało repertuar kino „Stylowy”, do którego chodziło się na najgłośniejsze filmy zarówno zagraniczne, jak i polskie przed i powojenne.

Od 1975 r. podniesiono status miasta na wojewódzkie. Miało to pozytywny wpływ na rozwój urbanistyczny. Powstały nowe

osiedla mieszkaniowe. W Akademii Zamoscensis znów otworzono uniwersytet. W hierarchii kościelnej kolegiata stała się katedrą, a w miejsce kolegium powstała kuria biskupia.



Babcia i córki - Czernichów, Ukraina, ok., 1910. Maria z de Schmieden-Kowalskich Piątkowska (ciocia Nusia) - z prawej, Emilia de Schmieden-Kowalska (ciocia Milusia) - z lewej, Maria Joanna z Moszynskich Anzelmowa de Schmieden-Kowalska (babcia) - w środku.

W 1932 roku, w Zamościu, pewnego jesiennego dnia, 30-go września, gdy słońce było w znaku wagi, wydarzyło się coś chyba

ważnego w rodzinie Józefa Wita Fabijańskiego i Eleonory z De Schmieden-Kowalskich, w ich własnym domu przy ulicy wówczas Lwowskiej, obecnie Partyzantów. Później komputer mi powiedział, że był to piątek - oznacza to pracowite i postne życie, do tego kryzysowe. Ci, którzy rodzą się pod znakiem „wagi” mają trudne życie, dźwigają swój ciężar, rozważając wszelkie za i przeciw. Ela, moja starsza siostra mówiła mi, że urodziłam się w czasie, gdy cała trójka rodzeństwa poszła na spacer, a gdy wrócili, byłam już ja - czwarte dziecko, najmłodsze i ostatnie.

Rodzice pobrali się w 1923 r. w Łucku, gdzie znajomy dziadków, ksiądz biskup Dybowski udzielił ślubu w tamtejszej katedrze, obecnie znów oddanej katolikom. Zamieszkali w Zamościu początkowo w wynajętym domu, podobnym do naszego, który już nie istnieje. Tam urodziło się dwoje z mojego rodzeństwa: Ela (1924) i Witek (1926). Później przenieśli się do swojego domu i tu przyszedł na świat Julek (1928) i ja (1932). Potem jeszcze Baśka, córka Witka (1954), a na koniec Wrzesław, mój syn (1957).

Pamiętam rozkład pokoi wtedy, gdy jako trzyletnie dziecko biegałam po domu ślizgając się na zawsze wyfroterowanych podłogach o długich deskach z sękami i dużymi gwoździami. Podłogi te były piękne, lśniące i wymagały ogromnej pracy.

Czas moich narodzin był fatalny. Światowy kryzys spowodował

bezrobocie. Dotknęło ono i mojego ojca, który ze stanowiska dyrektora prywatnej fabryki pana Kowerskiego, po jego śmierci i likwidacji zakładu, stracił pracę na kilkanaście miesięcy. Próby założenia własnej fabryki owoców i warzyw suszonych we Włodzimierzu Wołyńskim, skończyły się na plajcie, a wszystkie urządzenia, maszyny, suszarki, krajalnice itp. przyjechały do Zamościa i na strychu domu były przez wiele lat, nawet coś jeszcze zostało po wojnie. A więc nie zostałam córką fabrykanta. Natomiast brak pracy spowodował zwolnienie domowej służby i mój ojciec z konieczności więcej zajmował się mną, niż starszym rodzeństwem. Z ojcem zasypiałam, z ojcem wstawałam w nocy. To dobrze pamiętam. Może dlatego tak bardzo kochałam tego mojego tatusia.



Tata: Józef Wit Fabijański, w mundurze POW-iaka marszałka J. Piłsudskiego,

Sypialnia rodziców znajdowała się wtedy w pokoju od północy, oddzielonym od reszty domu przedpokojem. W pokoju jadalnym, centralnie położonym, było mnóstwo białych, filunkowych drzwi. Wchodziło się przez ganek i przedpokój na lewo do dużego pokoju, który długo był naszym dziecinny, na prawo do małego pokoju-saloniku i do kuchni. Naturalnie, szerokie przeszklone drzwi z bocznymi, wąskimi oknami wychodziły na werandę i oświetlały ten przyciemnawy zwykle pokój malowany olejno w modne wówczas boazerie, niby deski na zmianę ciemne i jasne aż

do sufitu. Pokój ten był najmiłszy wieczorem, gdy gromadziliśmy się wokół dębowego stołu. Życie rodzinne miało wtedy swój niezrównany charakter ciepła i bliskości. W świetle secesyjnej lampy, której jeszcze szczątki istnieją, siadaliśmy do kolacji, a później każdy coś czytał, szył, czy rysował. Nie było przecież telewizji, więc wieczory były organizowane inaczej. Po wojnie ojciec głośno nam czytał historyczne książki. Latem, szeroko otwarte drzwi stwarzały szczególny urok tego wnętrza, zwłaszcza w porze obiadowej w słoneczne dni. Nigdy tu nie było upału, a zimą długie promienie kładły się w głąb sięgając stołu. Urocze było to nasze miejsce, takie przytulne i tak łatwe w kontakcie z ogrodem, gdzie jaśmin można było rwać z okna, a duże donice z drzewkami pachnących oleandrów, różowych i fioletowawych, zdobiły dookoła werandę, późnym latem pachniały floksy w różnych odcieniach barw.

Niestety, po wojnie brak pieniędzy, zniszczenia i niedbałość lokatorów podczas lat naszej emigracji oraz totalna niemożność systemu administracyjnego, spowodowały, że dom starzejąc się robił się coraz zimniejszy i mimo gorących pieców temperatura w wietrzne zwłaszcza dni była za niska. Biedni rodzice z ciocią Izią, siostrą mamy, która wróciła właśnie z Kazachstanu jako gomułkowska repatriantka, marzli przez wiele lat i męczyli się w prymitywnych warunkach, jakie wtedy były przecież w Polsce wschodniej powszechne. Ale przywiązanie do tego domu i nasze przyjazdy trzymały ich psychicznie i fizycznie, praktycznie do

końca życia.

We wczesnym dzieciństwie zamojskim miałam trzy groźne przygody. Każda z nich mogła zakończyć się tragicznie. Najpierw, jako niemowlę zostałam nakarmiona przez nianię zielonymi porzeczkami. Ledwie mama odchuchała. Później, gdy już chodziłam, weszłam za służącą po bardzo stromych schodach na strych. W połowie drogi straciłam równowagę i spadałam. Szczęściem Jaś Piątkowski, brat cioteczny, właśnie wchodził i złapał mnie w powietrzu za sukienkę. Trzecia przygoda, którą także znam tylko z opowiadania, zdarzyła się na wiosnę. Mogłam mieć wtedy niespełna trzy latka. Starsze dzieci bawiły się w ogrodzie zajęte sobą, a ja dreptałam po grządkach i nagle wpadłam do płynnego śmietnika. Brat zauważył, że mnie nagle nie ma, narobił wrzasku i zostałam wyciągnięta za futerkowy płaszczyk tyczką do zrywania gruszek. Widocznie nie taki koniec mi w niebie przeznaczono.



Mama - Eleonora z de Schmieden-Kowalskich, Józefowa Fabijańska

Z uroczystości rodzinnych pamiętam większy rodzinny zjazd i zaprzyjaźnionych gości kiedy to nas, dzieci było dużo więcej i z tej okazji skorzystała moja siostra urządzając chrzciny lalki - Magdy, ślicznej, porcelanowej, zamykającej oczy z długimi rzęsami. Deska od stołu posłużyła za ołtarz. Lila, siostra cioteczna była księdzem w nocnej koszuli, bracia Witek i Julek służyli do mszy, a po tym wszystkim zaproszono nas do stołu na smakołyki. Pamiętam nasze zabawy w ogrodzie na wiosnę. Gry w

„kiczkę” i w palanta, a przede wszystkim w chowanki, gdyż ogród przed domem był nie tyle duży, co gęsto zarośnięty. Pod płotem maliny, przez środek alejka z krzakami porzeczek i agrestów. Drzewa jabłoni, grusze ozdobne krzewy bżów po bokach ganku, sercowaty klomb na osi z bajecznie kolorową mieszaniną o każdej porze innych gatunkowo kwiatów. Na obrzeżach, pod płotami sąsiadów rosły złocienie i floksy stwarzając możliwości kryjówek nie do odkrycia. Podwórze, przez które trzeba było przechodzić do nas, to były ogródki przed i dookoła każdego domu, a było ich pięć z naszym. W tym podwórzu rosła kochia - roślina-samosiejka, której nikt nie pielęgnował, ale rosła bujna, wysoka i rozłożysta, czasem smukła na kształt włoskich cyprysów. W niej najlepsze były chowanki, ale to było możliwe dopiero późnym latem. Lubiłam bardzo bawić się lalkami na schodach ganku, zwłaszcza w upalne dni. Ulubione zabawy w dom z gotowaniem na niby, z szyciem ubranek dla lalek i pożytecznym robieniem na drutach. Byłam w tym wszystkim zwyczajną, przeciętną dziewczynką, ale jedno różniło mnie od moich towarzyszek zabaw dzieciennych. Uwielbiałam wszystko, co piękne: ładne mieszkania, przedmioty artystyczne, stare antyki, musiał być ład i porządek, mieszkanka lalek posprzątane i ozdobione kwiatami, serwetkami, tkaninami, dywanikami. Przytulność, ciepło tkanin były mi zawsze potrzebne. Kiedy mieszkanie lalek, które znajdowało się pod biurkiem mamy, było wysprzątane oddawałam się cała doznaniom estetycznym i każdą zauważoną niedoskonałość, czy

szpetotę starałam się zasłonić: obrazem, meblem, tkaniną, lub kwiatem, aby nie raziła oczu, aby nie budziła poczucia wstydu, czy zażenowania.

Zamość z dzieciństwa i lat trzydziestych, pozostał w mej pamięci uroczysty, świąteczny, wyjątkowy. Pamiętam dobrze nastrój przedświąteczny w naszym domu i ogromną choinkę do sufitu, stojącą na dywanie francuskim w naszym, dzieciennym pokoju. Paliły się na niej lampki Philipsa kolorowe, podobne w kształcie do dużych śliwek. Bombki, łańcuchy z kolorowego, glansowanego papieru, paciorkowe kapliczki, koszyczki z wydmuszek i dzbanuszki czy ptaki, a wreszcie soplowate cukierki w błyszczących papierkach, pierniczki, szyszki, orzechy i czekoladowe cudeńka w cymfoliach - sprawiały, że choinka była bogata i przyciągająca największe łakomczuchy. Może w tym roku, ostatnim przed wyjazdem do Hrubieszowa, dostałam na gwiazdkę ukochanego Bila - psa-zabawkę z niebesko-żółtej flaneli z noskiem czarnym i pyszczkiem w pepitę. Został zapomniany na piecu, ku mojej rozpacz.

Inspiracją i pobudzeniem wyobraźni dziecięcej byli kolędnicy, chłopcy z sąsiedztwa zarówno ci, co śpiewali: „po kolędzie, głośno wszędzie, niech pan Fabijański zdrów i wesół będzie ...”, jak i też ci, którzy przychodzili do kuchni z jasełkami posługując się kukiełkami własnej roboty i tekstami anonimowych autorów ludowych. Najbardziej podobała mi się kolorowa, duża gwiazda,

którą obracał chłopak ubrany w kozuch do góry włosiem, gwiazda wtedy rzucała coraz to inny migotliwy blask od zapalonej w środku świeczki. Była dla mnie czymś niezwykłym, przepięknym, magicznym. Wśród jasełkowych postaci obowiązkowo musiał być diabeł, król Herod i Żyd w świątecznych, karykaturalnych przebraniach. Kolędnicy po występie dostawali ciasto, łakocie i pieniądze. Pamiętali to do następnego roku.



Na Wielkanoc punktem kulminacyjnym przygotowań było pieczenie drożdżowego ciasta w prawdziwym, babowym piecu, który przetrwał do końca bytu moich rodziców, mimo, że zajmował 1/4 kuchni. (Baby Wielkanocne piekło się w ogromnych, kamiennych formach karbowanych, okropnie ciężkich). Do pomocy w tym okresie przychodziła sympatyczna kobieta zwana Antoniową. Przynosiła z sobą lampę naftową, którą zapalała wieczorem w sieni dla „pokutujących duszyczek”, jak mawiała. Wyobraźnia dziecięca intensywnie wtedy pracowała, chcąc koniecznie ujrzeć taką duszyczkę.

Zamość przedwojenny pozostał w pamięci, jak kilka barwnych plam na obrazie impresjonistycznym. Nałożyły się na nie ciemniejsze kolory okresu stalinowskiego, biedy i przygnębienia, represji i podłości. Ale nie chcę Zamościa wspominać z tego smutnego okresu, przynajmniej nie teraz.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) otrzymując tytuł

magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i ponad 100 artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu (IATM) przy ICOM (International Council of Museums), reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na

Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem.

Zabawy karnawałowe i słynne przyjęcia u Potockich w Łańcucie



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Na zdjęciu hrabia Alfred Potocki, księżna Kentu Marina, księżna Elżbieta Lichtenstein (na tylnym siedzeniu z lewej) i towarzyszące im osoby podczas przejażdżki powozem, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie, polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z

amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna - ordynata, matka - wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy 70-tkę. Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału, królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście,- wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski - mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od Powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru - Suzenitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty z

kręgami dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w Bieszczady był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy. – *Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał* – pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach”.

Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.



Alfred Antoni Wilhelm Roman Bazyli Potocki, ostatni (IV) ordynat Łańcuta

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred

starannie opisywał:

...król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse”, jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.

...Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że księżę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą - opisuje dalej hrabia Alfred - Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King”, potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a'la Daumont. Przed herbatą księżę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzeć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Księżę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nieudawaną przyjemnością jaką odczuwał z

pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których księżę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmiłszych wspomnień.



Wnętrze zamku w Łańcut, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Polowania, muzyka i taniec stały się tradycyjną częścią sposobu życia.

Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas - wspomina Alfred Potocki. - Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.

Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpięły, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przeproszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane. Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie

wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem” według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, w gorzelnię Alfreda Potockiego trafiła bomba, alkohol zaś rozpłynął się po okolicach. Żołnierze radzieccy, nie mogli wyjść z podziwu, jaki tu jest dobrobyt i jaka to wspaniała urodzajna ziemia, skoro wódka strumieniami płynie.



Wnętrze zamku w Łańcucie, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Źródła:

Aleksander Świętoniowski – lokaj Potockich z pierwszego piętra, rozmowa.

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w

Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Ze wspomnień starego lokaja

<https://www.cultureave.com/ze-wspomnien-starego-lokaja/>

Wesele, które
w karnawale
Marszałek Wielki
i Hetman Polny

Koronny Jerzy
Sebastian Lubomirski
wyprawił córce swojej
na Łańcuckim Zamku
w 1661 roku

Polskie tradycje, polskie obyczaje



Widok od zachodu. Akwarela Thomasa de Thomona z końca XVIII w., fot. E. Baniukiewicz, Z. Wiśniowska, Zamek w Łańcucie, Arkady, Warszawa, 1980

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Wystawił ten świątobliwy pan drugą fortecę jakoby wpośród pola w Łańcucie, z ośmdziesiąt dział, puszkarzami, prochownią prowiantami, amunicyjami. Tamże zawsze trzymał circum circa piechoty czterysta, także wybranych z włości swoich i czterysta beczek wina dla traktamentu przyjaciół i braciej szlachty polskiej.

Tak Stanisław Czerniecki, Podstoli Żytomierski opisywał "Dwór,

Wspaniałość, Powagę i Rządy Jaśnie Oświeconego Księcia Stanisława Lubomirskiego, Chwalebne Zwycięzcę Nad Osmanem Cesarzem Tureckim pod Chocimiem...”, ojca Jerzego Sebastiana. Oprócz zasług Księcia dla kraju i szczegółowego opisu dworu Czerniecki utrwalił wydarzenie, które przeszło do historii, ślub panny Konstancji Lubomirskiej, córki Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, z Felicyjanem Potockim. Ceremonia i wesele odbyły się po Świątach Bożego Narodzenia, w karnawale, kiedy to na pańskich dworach bawiono się hucznie aż do postu. Na dworze zatrudnionych było na stałe:

Kuchmistrzów szlachty dwóch, Kucharzów tak Francuzów, jako i Niemców z Polakami dwanaście i wozów po sześciu koni, dla nich i dla naczyń dwa. Pasztetników trzech a piekarzów czterech.

Przygotowanie wesela wymagało jednak zatrudnienia dodatkowych osób.

Jaki rozchód był na tym weselu, który był w mojej dyspozycji - pisze Czerniecki - snadno się domyślić może każdy z liczby kucharzów, których było siedemdziesiąt pięć, a tych zwożono z różnych miejsc, z Warszawy, Krakowa i Lwowa. Do tego Kuchen Wielkich cztery i kuchmistrzów

czterech. Z osobna pasztetników sześć, cukierników czterech Francuzów, którzy na miejscu w Łańcucie cukry robili.



Alegoryczny portret Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, ojca panny młodej, autor nieznan, fot. wikipedia

Nie sposób wymienić wszystkiego, co znalazło się wtedy na łańcuckich stołach, ale już kilka pozycji daje wyobrażenie o wielkości przyjęcia.

Na same stoły rozchód był takowy. Wołów karmnych - 60, Cieląt - 300, Bażantów - 500, Kapłonów karmnych - 3 000, Kapłonów dworowych - 3 000, Kur prostych - 8 000, Kurcząt par - 1 500, Gołęmbi par - 1 500, Indyków młodych - 1 500, Indyków starych - 500, Kaczek swojskich - 1 500, gęsi karmnych - 500, Wieprzów karmnych - 30, Prosiąt - 120, Jeleni - 24, Danieli - 30, Zajęcy - 300, Sarn - 45, Dzików - 4...

A oto jak Stanisław Czarniecki opisuje samo wydarzenie.

Naprzód przyjazd do Łańcuta Wojewody (Stanisława Potockiego) z Jego Synem (Felicijanem Potockim). Dostyć ozdobny, ludzi zacnych i rycerstwa poczet niemały, koni tureckich, bachmatów szmailskich, rumaków polskich sześćdziesiąt. W kawalkacie przyjaciół i usariej, pułkowników, wyborowych zacnych kawalerów półtora tysiący. Przeciw Tym Jaśnie Wielmożnym, Marszałek Wielki Koronny nie w mniejszym poczcie wyjechał, o pół milę do wsi Głuchowa. Na wjazd tych Ich MM do zamku Łańcuckiego, który był w piątek, z dział dwunastu na wał wytoczonych, dano ognia dwakroć, to jest 24 razy. Po ślubie, który był w Kościele w niedzielę na powrót z kościoła do zamku tychże Jaśnie Wielmożnych Ich Mościów dano ognia razy 24. za zdrowie

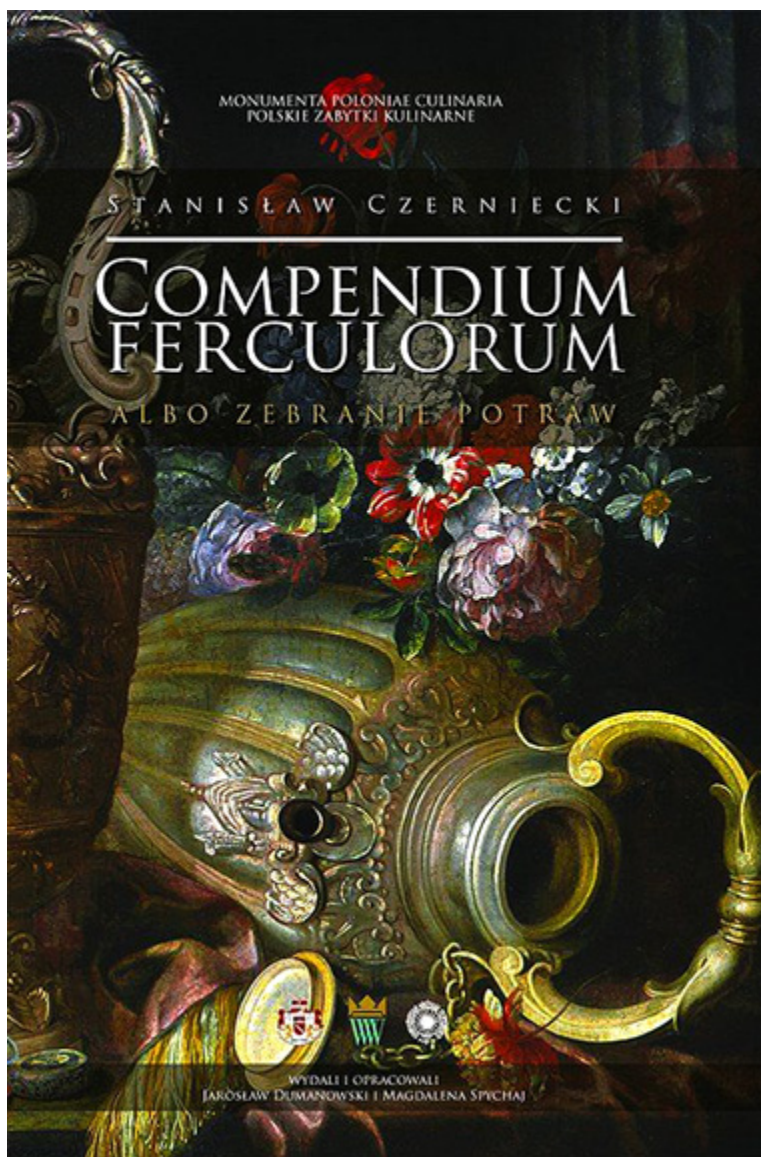
rycerstwa wszystkiego gdy wypijano, dano ognia 24 razy. Za zdrowie JW Hetmana Wielkiego Koronnego gdy wypijano, dano ognia 24 razy. W poczcie piechoty cudzoziemskiej we dnie i w nocy stało 1 200. Po wałach piechoty węgierskiej stało we dnie i w nocy 600. Piechoty do noszenia potraw było 600. Zbudowano circum circa około pałacu w zamku pokojów dla pułkowników z tarcic - 40. Posłów tak, cudzoziemskich, jak i panów możnych i rycerstwa obojga narodów, z upominkami, które przez trzy dni oddawali, było 1 500, co twierdził regestr, do którego się Ich Mość panowie Posłowie wpisywali. (...) To trzeba wiedzieć, że tam był takowy traktament i wygoda gościom, że do wszystkich pokojów otwierano kluczem generalnym, a na śniadanie i wieczerzę stoły wszystkich gości zastawowano, ludo goście spali i jeść nie chcieli i win dostatek przy potrawach nanoszono. A trwał ten solenny bankiet od piątku do drugiego piątku i szczęśliwie bez wszelkiej zwady zakończony.



Witold Kłaczewski, Jerzy Sebastian Lubomirski, Wrocław 2002.

Możni Panowie w XVII wieku mieli dużą władzę. Z racji ciągłych najazdów dysponowali wojskiem. Ich fortuny rosły. W okresach wolnych od wojen, bawiono się więc, ucztowano wiele dni, tygodni czy miesięcy. Dwory magnackie naśladowały dwór królewski, sprowadzano muzyków zza granicy, zatrudniano własne orkiestry. Takie wydarzenie jak ślub i wesele, musiały zapaść w pamięci, nie mogły być gorsze czy mniejsze od królewskich.

Bibliografia: Stanisław Czerniecki: *Dwór wspaniałość powaga i rządy.....1697 rok, rękopis Biblioteki Ossolińskich.*



Stanisław Czerniecki, który opisał słynne wesele w Łańcucie, jest autorem najstarszej książki kucharskiej „Compendium Ferculorum albo zebranie potraw” z 1682 r. Książka ta została opracowana przez prof. Jarosława Dumanowskiego z Uniwersytetu w Toruniu i wydana przez Muzeum Pałac w Wilanowie w 2012 r.

Artykuł prof. Jarosława Dumanowskiego o zapomnianych potrawach wigilijnych:

<https://www.cultureave.com/zapomniana-wigilia/>

Zapomniana Wigilia



Bronisława Rychter-Janowska, Wigilia, pocztówka, 1935 r.

prof. Jarosław Dumanowski

Centrum Dziedzictwa Kulinarnego, Wydział Nauk Historycznych UMK w Toruniu

„Miał być szczupak po litewsku, ale że nie dostałem szczupaka, więc będzie goloneczka w piwie”. Taką tradycyjną wigilię urządzili sobie bohaterowie komedii „Rozmowy kontrolowane”. Na dodatek ze zdziwieniem odkryli, że wypadła im 24 grudnia, czyli jeszcze przed świętami.

Szczupak po litewsku przez stulecia był w menu wigilijnym gościem równie ważnym jak karp. Przepisem na „Szczupaka na żółto z staropolska” uraczył nas Jan Szyttler w swojej „Kuchni postnej” z 1848 r. Słynny wileński kucharz podkreślał, że ta potrawa była już zapomniana „przez klasę środkującą”, ale „każda z ubogich gospodyń ostatni prawie grosz wydaje na kupienie lichego szczupaka, byle dochować zwyczaju, który jej prababka święcie obchodziła”. Receptura zajmuje dwie strony, szczupaka gotowano z butelką wina z dwiema butelkami octu, z rodzynekami i cytryną, a żółty sos robiono z wywaru, oliwy z mąką, oliwek i zabarwiano to szafranem.

Najbardziej chyba zapomnianą z dawnych potraw wigilijnych jest jarmuż z kasztanami, danie łączące to co lokalne z czymś egzotycznym, opisane np. w „Kucharzu krakowskim” i przez

samą Ćwierczakiewiczową. W 1825 r. zwracano uwagę na to, by jarmuż gotować krótko (tak jak jajka na miękko), potem podsmażyć go na maśle i dodawać upieczone kasztany, podlewając je gęsim smalcem. W innym przepisie do ugotowanego i posiekanego jarmużu dodawano tartych buraczków i marchewki, a podpieczone kasztany obtaczano w karmelu i obkładano nimi warzywa. Autorka z Warszawy proponowała w 1856 r., by jarmuż podpiec w piecu, sparzyć mlekiem, dodać kilka kasztanów tartych i kasztany pieczone, i wszystko razem zapiec w piecu.

Mniej entuzjazmu wzbudziłaby dzisiaj zupa sagowa (z rdzenia palmy sagowej) na winie, ciekawa byłaby też nasza reakcja na wigilijne paszteciki grzybowe z rybimi wątróbkami. Jeszcze ponad 100 lat temu na wigilię podawano kaczany kukurydzy „naturalnie konserwowane w puszkach”. Intrygująco brzmi przepis z toruńskiej książki kucharskiej z 1885 r., łączący w jednej recepturze zupę z suszonych śliwek z zupą grzybową, na dodatek z wyraźną piernikową nutą cynamonu.

Same toruńskie pierniki, choć ciągle słynne, zmieniały się przez wieki na tyle, że dziś nie bylibyśmy w stanie ich rozpoznać w całym ich zapomnianym, historycznym bogactwie. Ale to już temat na inną opowieść, do której zapewne jeszcze nieraz wrócimy. Na razie pierniki dodamy do karpia, jarmuż do kasztanów, grzyby do śliwek, a migdały do konopi. Dziwne? Nie,

tylko zapomniane.

A o Wigilii zapominać nie powinniśmy...



Polska Wigilia, XIX w.

Pamiętamy o barszczu z uszkami, zupie grzybowej albo z suszonych owoców, karpia, czasem kutii, pieczemy pierniki... Menu wigilijnej wieczerzy to swoisty relikw, pozostałość dawnej,

historycznej kuchni. Kulinaryny kształt polskiej wigilii jest przy tym czymś zupełnie wyjątkowym - przedstawiciele innych nacji skupiają się raczej na kulinarnych atrakcjach samych świąt Bożego Narodzenia i ich obchodzenie kojarzą raczej z gęsią czy indykiem niż karpem i śledziem.

Wyjątkowość wieczerzy wigilijnej wynika z jednej z zasadniczych cech dawnej, staropolskiej kuchni. Wbrew potocznym wyobrażeniom o ociekającym tłuszczem golonkowo-schabowym obżarstwie, była ona w dużej mierze oparta na pokarmach roślinnych, roślinnych tłuszczach i rybach. Wynikało to z niezwykle surowego i utrzymującego się bardzo długo katolickiego postu, który zresztą był bardziej polski niż katolicki (dłuższy i surowszy niż w innych krajach).

Postawieni wobec tego rodzaju ograniczeń staropolscy kucharze musieli użyć całego swego kunsztu, by kulinarnie urozmaicić długie i częste okresy postu. W praktyce zorganizowanie każdej większej, kilkudniowej uroczystości, oznaczało natknięcie się na jeden lub nawet kilka dni postnych. W efekcie należało często godzić religijne ograniczenia z przyjemnością delektowania się smakiem i wystawnością uczy. Ukoronowaniem postnej, formalnie skromnej, a jednocześnie wystawnej i kulinarnie wyrafinowanej uczy jest właśnie wieczerza wigilijna.

Przez całe wieki w swej elitarniej wersji opierała się ona przede

wszystkim na rozmaicie przyrządzanych rybach, skądinąd specjalności kuchni staropolskiej. W spisie produktów, które trafiły na stół Jana III Sobieskiego 24 XII 1695 r. natrafiamy na „łososie rosłe”, „karpie rosłe”, po których następują szczupaki, okonie, leszcze, liny, bliżej nieokreślone „słone ryby”, stokwisze i śledzie. Całość uzupełniały ryż i migdały, a także oliwa, cebula, jajka, uznawana za najlepszą „mąka toruńska”, bliżej nieokreślony sok i „pół kopy ślimaków”.

Z kolei Antoni Teslar, kucharz hrabiego Antoniego Potockiego z Krzeszowic, w swej wydanej w 1910 r. „Kuchni polsko-francuskiej” we wzorcowym menu wigilijnym proponował przyprawioną szafranem zupę rybną z mleczkami karpiovymi i wątróbkami szczupakowymi oraz zupę migdałową. Po zupach podawano rybę z chrzanem, szczupaka w sosie szafranowym i karpia w sosie polskim (na miodzie, czerwonym winie, cytrynie lub occie, z dodatkiem rodzynek), po czym następowały m. in. smażone liny, śledzie, kawior i kutia oraz seria „strucli” (np. z makiem) i torty.



Bronisława Rychter-Janowska, Wigilia w polskim dworze, pocztówka świąteczna, pocz. XX w.

Ciekawym, ściśle związanym, z wigilią sposobem przyrządzania ryb, było ich serwowanie z sosem piernikowym. Na takie receptury natykamy się już w XVII wieku. Zwyczaj doprawiania ryb piernikiem najdłużej przetrwał w Toruniu i na ziemi chełmińskiej, a najdokładniejsza taka receptura została przedstawiona w zbiorze wydanym przez Wiktora Kulerskiego w 1915 r.:

Karpie

Karpie zabija się, uderzając go młotkiem w głowę. 1 funt starczy na 3 osoby. Oskrobany i oczyszczony jak należy

pokrajać na kawały, czyli dzwona, nasolić najmniej godzinę przed gotowaniem, ikry lub mlecza nie trzeba solić, dosyć położyć w misce przy posolonej rybie na dnie. Tymczasem ugotować tyle wody z włoszczyzną, cebulą, korzeniami i liściem laurowym bez soli, ile się chce mieć sosu. Po półgodzinnym gotowaniu, gdy już włoszczyzna zmiękła, wyjąć ją i do tego sosu włożyć nasoloną rybę. Najprzód głowę i trzeba ją trochę dłużej gotować niż dzwona, mlecza można także zaraz włożyć, a ikrę dopiero po wyjęciu ryby na 5 minut tylko, bo inaczej się rozleci. Ryby gotować bardzo słabo, na małym ogniu kwadrans, potem wyjąć ostrożnie każdą część. Do zupy daje się rozmoczonego w pojedynczym piwie piernika albo tartego chleba, kto chce, także trochę rodzyneków dobrze opłukanych, trochę masła i zagotuje się razem jeszcze raz. Jeżeli sos nie dość gęsty, to zrobić trochę zakleпки z mąki, dodać ją i jeszcze raz zagotować i podać z rybą. Do tego kluski albo perki.

Karpia łatwiej jest gotować na kwaśno. Na dobrze oprawionego karpia leje się trochę gorącego octu i zostawia przykrytego na pół godz.; potem kładzie się go z octem do wrzącej osolonej wody, w której sparzyć trzeba przed tem ze 3 cebule (potem je wyrzucić) i gotować rybę w niej 10 minut na słabym ogniu. Zupę z tego karpia można także podać do kartofli.

Karp w polskim sosie wilją,

Wygotować smak z włoszczyzny, włożyć pokrajanego, oczyszczonego i nasolonego karpia, dodać kawałek masła i gotować 15-30 minut. Zamoczyć we wodzie kawałek miodownika (piernika do ryb) i na dogotowaniu wlać do ryby. Dodając kilka migdałów, garść rodzenków, wcisnąć trochę cytryny albo octu, osłodzić, aby był sos kwaskowato-słodki. Gdy już ryba ugotowana, odstawić na bok, niech z 10 minut jeszcze w sosie stoi, aby nabrała smaku.

Nauka gotowania do użytku ludu polskiego, Grudziądz 1915
(nasze opracowanie:
http://haszgru.pl/uploads/files/aktualnosci/2013-11-04/Nauka_gotowania.pdf

Jarmuż z kasztanami

Jarmuż nadmrożony opłukać czysto, obrać z głąbików, wstawić w piec gorący, niech zupełnie zwiędnie, a raczej zmięknie; potem wyjąć z pieca, wyłożyć na sito, lub stolnicę, aby woda osiąkła, sparzyć mocno zagotowaniem mlekiem, trzymać tak długo, aż wystygnie, wyłożyć wtedy na durszlak,

osączyć, usiekać na miazgę. Zmieszać świeże masło z kilkoma utartymi kasztanami surowymi, zmacerować na ogniu i włożyć w to jarmuż, wsypać łyżkę mąki, wymieszać dobrze, dodać cukru do upodobania, kwiatu pomarańczowego, soli, a mając już upieczone jak zwykle kasztany, obrać je, polać dobrze masłem, posypać cukrem, zarumienić w cieple, przystroić niemi jarmuż na półmisku, jeszcze raz posmarować żółtkiem ubitem z masłem i cukrem, jarmuż potrząsnąć bułeczką i wstawić w piec na chwilę.

Leśniewska, *Kucharz polski jaki być powinien*, Warszawa 1856.

Potaż rybny

Weźmij grzybów suchych, spłocz pięknie, wstaw w przestronnym garncu, włóż pietruszki wiązanekę, zasól tak, jako kapłoni rosół, warz, a nakryj dobrze, będziesz miał polewkę na zalanie ryb na potaż. Weźmij szczupaka, oczesz, zrysuj, pokraj na małe dzwona, włóż w naczynie srebrne albo gliniane, albo drzewiane, zalej octem winnym, dobrym i soli dostatek, niech moknie przez godzinę. Wyjmij potym, osusz, weźmij mąki pszennej, potrząśnij, a smaź w maśle albo oliwie, a gdy się ociągnie, wybieraj. Przybierz do tego z

inszych ryb kścieńców i wątróbek, ponakładaj i pociągaj wprzód w wodzie, a potem w oliwie albo maśle.

Weźmij potem chleba białego, nakraj grzaneł cienio, a ułóż tymi grzankami misę srebrną albo cynową, kładź na grzanki szczupaka ociągnionego, na wierzch ksienie i wątróbki. Weźmij pietruszkę, która wrzała w grzybach, rozłóż po wierzchu, a tą polewką, w której grzyby wrzały, zalej i nakryj misą drugą. Warz, a gdy dowiera, daj z polewką na stół.

Czerniecki, Compendium ferculorum albo zebranie potraw, wyd. i opr. J. Dumanowski i M. Spychaj, „Monumenta Poloniae Culinaria”, t. I, Warszawa 2009 (i kolejne wydania).



Bronisława Rychter-Janowska, Wigilia

cdzk@umk.pl

<http://www.facebook.com/kuchniastaropolska>

<http://www.natemat.pl/blogi/dumanowski>

Dla miłośników kuchni staropolskiej opowieść o zapomnianej polskiej kuchni „Kapłony i szczeżuje”:

<https://czarne.com.pl/katalog/ksiazki/kaplony-i-szczezuje>

